Nr. 29 (20) Lwów, dnia 10. Października 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1-go. 10-go i 20-go.

Do Szanownych Czytelników.

Czasopismo ***„Ruch“*** wydawane i redagowane od dwóch lat we Lwowie przez p. *Stanisława Błotnickiego* zlało się na dniu dzisiejszym z naszem wydawnictwem Ponieważ nastąpiło to w ciągu roku, nim drukujące się utwory mieliśmy czas pokończyć, przeto połączenie w formie teraźniejszej jest tymczasowe, i dopiero od grudnia r. b. pismo nasze ***zacznie wychodzić jako tygodnik*** w takim kształcie i rozmiarach, jakie już teraz uznaliśmy za niezbędne.

Każdy prenumerator ***„Wieczorów zimowych“*** otrzyma ***na żądanie*** 18 zeszytów ***„Ruchu“*** z b. r. za zniżoną dopłatą **3** złr. zamiast **5** złr. **40** ct, oprócz tego ***bezpłatnie*** początek odznaczonej na konkursie warszawskim powieści Waleryi Soleckiej p. t: ***„Henryk Szczerba“***, prenumeratorowie zaś ***„Ruchu“*** mogą dostać po cenie zniżonej, mianowicie za **3** złr. (**6** marek) zamiast **4** złr. **50** ct (**9** marek) wszystkie wydane dotąd numera ***„Wieczorów zimowych“*** w których znajduje się 5 tomów pięknych powieści, obok wielkiej liczby innych artykułów.

Prenumerata do końca roku wynosi ***1*** *złr.* ***50*** *ct. Prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty, ten bowiem, kto jej do dnia 15. października nie złoży, nie otrzyma następnego numeru.*

Prenumeratę należy wysyłać pod następującym adresem: Administracya **„Ruchu i Wieczorów zimowych“ w drukarni nar. W. Manieckiego, Lwów, ul. Kopernika l. 7.**

Lwów, dnia 1. października 1888 r.

Wydawcy.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Misjonarzami są księża młodzi, wyświęceni za granicami Niemiec, już po wyjściu praw majowych. Powierzchownie, aby policja ich nie poznawała, wszyscy oni noszą zarost i szaty świeckie. Za mieszkanie i kościół, służą im najczęściej chaty włościańskie, rzadko kiedy dwory i pałace. Misjonarz, zaopatrzony w małą skrzyneczkę, podobną do ręcznego kuferka, przychodzi zawsze do parafji w towarzystwie sąsiedniego proboszcza, który go przedstawia kilku parafianom jako kapłana prawowitego, a nie „majowego“ tj. rządowego. Gdy taki misjonarz skrzyneczkę, którą z sobą przyniósł, otworzy i na pierwszym lepszym stole ustawi, ma już z niej ołtarz z relikwiami, wnętrze jej zaś zawiera wszystko, co kapłan do mszy św. potrzebuje. Jest tam mały srebrny kielich z pateną, albo naczynia do olejów św. do hostji, do komunikantów; ampółki z tacką, flakonik do wina, dwa lichtarzyki ze świecami i ornaty małe. Każdy ornat jest z cienkiej, jedwabnej materji podwójnej, w dwóch odmiennych kolorach, tak że misjonarz aby mieć stosowny kolor do mszy św. potrzebuje w tym celu tylko ornat stosownie przewrócić. Cudownych tych skrzyneczek dostarczają Belgja i Francja.

— Jeżeli dla Romanowa zostanie misjonarz przeznaczony — mówił dalej dziekan — w takim razie wy, księże proboszczu, jako sąsiad najbliższy i znający ludność miejscową, będziecie go musieli parafianom przedstawić.

— Z największą radością, księże dziekanie.

— Lecz czy trudom, jakie was księże proboszczu czekają podołacie.

— Czemużbym nie miał podołać?

— Bo zdrowie wasze nie tęgie.

Ks. Błażej uśmiechnął się, jakby z politowaniem.

— Ciało chore, prawda jak rozbite skrzypce, ale przy łasce bożej duch dotąd się trzyma. Mam nadzieję, że nim niemcy mnie zjedzą, wpierw jeszcze nie jeden ząb na mnie im się wyłamie.

— Amen! — dziekan zakończył.

Ks. Błażej przystąpił do swego przełożonego i wziął go za rękę:

— Księże dziekanie — rzekł — mam do was wielką prośbę... Wy, co częściej bywacie u wielkiego ołtarza, u biskupa i prymasa, będziecie najlepiej wiedzieli, czy to prześladowanie naszej świętej religji, wyjdzie nam na pożytek.

Na to zapytany tak odpowiedział:

— Księże Błażeju, nauka kościoła mówi nam że nikt nie zasłużył się tyle około rozpowszechnienia wiary chrześcjańskiej, co owi tyrani Rzymu, którzy pierwszym wyznawcom Chrystusa kazali kryć się po katakombach. Dla tego i my nie potrzebujemy lękać się przyszłości.

— Ja też o religję, o wiarę naszą świętą nie jestem niespokojny — proboszcz zawołał.—Nie tacy na nią sprzysięgali się, a runęli. Gdzie duch boży na straży staje, tam złość szatana nic nie dokaże. Jam tedy o religję spokojny, ale o czem chciałbym się dowiedzieć z ust waszej wielebności, to o duchu świeckim naszego duchowieństwa. Rząd gniecie nas, bo myśli że przez nas naród zgniecie... Czy więc to słabszych nie przestrasza, nie zniechęca, nie nakłania do odstępstwa?

— Nigdy jeszcze księże proboszczu, duchowieństwo nasze nie stało tak wytrwale po stronie narodu, jak właśnie teraz.

— Skoro tak, to niech będzie imię pańskie błogosławione! — szepnął ks. Błażej, ręce do góry podnosząc.—Chłoszcz nas Boże, chłoszcz, byśmy bici i smagani, obudzili w sobie tę miłość dla kraju, o której przedtem nie jedem zapominał... Gdy nam dobrze a spokojnie, opuszczamy ręce, obojętniejemy dla spraw publicznych i często nie myślimy o niczem więcej, jeno o naszej wygodzie! Ale ty o! Panie! zmiłowałeś się nad grzesznymi i zesłałeś na nich chłoszczącą prawicę Nabuchodonozora, by ich obudziła z odrętwienia i przez morze łez przywiodła do opamiętania. Chłoszcz nas Boże, chłoszcz i tak długo nie przestawaj, dopóki w miłości dla naszego ludu, dla naszego kraju, nie ztwardniejemy jak stal!

Gdy proboszcz trzciniecki mówił to głosem podniesionym, dziekan widząc jego policzki gorączkowym rumieńcem ożywione, żar z oczu bijący i postać całą jakby blaskiem owianą, zbliżył się doń i głowę jego w swoje dłonie ująwszy, tak przemówił:

— Uczucia wasze, ojcze, są także mojemi i da Bóg że już wkrótce wszyscy nasi kapłani będą je podzielali!

Po bytności u dziekana, od którego weselszy wrócił, ks. Błażej często sobie przypominał co od niego usłyszał i teraz we framudze okna stojąc, ponownie się zapytywał, ażali ziszczą się przepowiednie sędziwego dziekana i czy całe duchowieństwo wielkopolskie, stanie jak jeden mąż po stronie swojego narodu? A jeżeli kiedy to właśnie dziś było to niezbędnie potrzebne, rząd bowiem rozpoczął walkę na całej linji, chcąc księży koniecznie usunąć od wpływu na miejscową ludność.

Niegdyś nauki religji w szkołach ludowych uczyli duchowni. Ustawy majowe usunęły ich od tych obowiązków, wszelako w początkach rząd robił przynajmniej to ustępstwo kościołowi, że przy egzaminach abiturjentów, opuszczających seminarja nauczycielskie, z religji pytał zawsze ksiądz katolicki. Jeżeli abiturjent dawał odpowiedzi zadowalniające, tedy komisarz arcybiskupi udzielał mu „misji kanonicznej“ na tem polegającej, że mu wpisywał do zaświadczenia, iż mu wolno w szkole elementarnej udzielać nauki religji. Odkąd jednak minister Falk rządy objął, ustępstwo to zostało uchylone i teraz komisarzy arcybiskupich nie wzywano więcej do egzaminów.

Nauczyciel w Trzcińcu, umiejący wprawdzie po polsku, lecz nienawidzący tego nazwiska, był bowiem niemcem do szpiku i kości, nie miał „misji kanonicznej“, a mimo to uczył w szkole nauki religji i kilkakrotnie dał się nawet z tem słyszeć, że musi ją wykładać po niemiecku, tak samo jak inne przedmioty, ponieważ wszystkie dzieci dobrze po niemiecku umieją.

Czy więc proboszcz nie miał się czem martwić?

VI.

Ptaki odleciały, ksiądz wychylił na dwór głowę, by za niemi wysłać jeszcze jedno spojrzenie potem od okna odstąpił i zaczął przechadzać się po pokoju.

Między dwoma oknami stała bibljoteczka, zapełniona w jednej połowie książkami religijnemi, w drugiej historycznemi. Na boku widać było także kilkanaście tomików ze złoconemi napisami: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki i inni.

Bibljoteka była szeroka, lecz tak niska, że górna jej półka sięgała księdzu po ramię. Dla harmonji więc, umieścił nad nią kilkanaście fotografij większych i mniejszych, artystycznie ułożonych, które przedstawiały jego rodziców siostry i braci, dziś już nieboszczyków i kilku szkolnych kolegów, z którymi niegdyś w serdeczniejszych zostawał stosunkach. Dziś rozpierzchli się oni po świecie i już dawno jak z nich żadnego nie widział.

Na samym dole, widać było jednę fotografję osobno. Była ona mniej wyraźna niż inne, pod światło wyglądała biaława i trudno było poznać kogo wyobrażała. Dopiero kto ją wziął w rękę i stosownie się ustawił, przekonywał się, że to nie była zwyczajna fotografja, lecz dagerotyp z przed dwudziestu kilku laty.

Proboszcz stanąwszy przed bibljoteką, zdjął obrazek i oczy sobie przysłoniwszy, zaczął patrzeć. Dagerotyp przedstawiał dziewczę w kwiecie wieku, w ślubnej sukni, z rozpuszczonemi włosami, z wieńcem na głowie, młode, smukłe i piękne, ale takie smutne, że na jego widok żal ściskał za serce. Na tej twarzyczce dopiero rozwiniętej, zamiast życia rozkoszy widać było tęskną zadumę; te duże oczy, mimo iż w rzeczywistości musiały być blasku pełne, wyrażały głęboki ból.

Ksiądz wpatrywał się długo w te rysy, które znać musiał, skoro je śledził okiem starego przy-

jaciela, potem westchnął, portret pocałował i na dawnem miejscu powiesił.

Z kolei wziął z górnej półki książkę do nabożeństwa, w okładce z szafirowego aksamitu, niemłodą już latami, lecz starannie utrzymaną i spojrzał na pierwszą kartkę. Tam pismem czytelnem choć już żółtawem, umieścił ktoś przed 25 laty, jak data wskazywała, te krótkie słowa: „Anieli — na pamiątkę — Błażej.“ Przerzucił kilka kartek i wzrok jego spoczął na puklu jasnych jak len włosów, które w środku czarna wstążka związywała.

Wziął włosy do ręki, patrzył na nie długo, potem do ust je przycisnął. Teraz był blady, drżał i w oczach łzy mu się pokazały... Włosy nazad do książki zamknął i usiadł na krześle, obok bibljoteki. Tak był wzruszony, że na nogach nie mógł ustać.

Przy drzwiach dało się słyszeć lekkie pukanie. Nie ruszał się z miejsca, dopiero gdy po dłuższej przerwie pukanie się powtórzyło, powstał, książkę położył i poszedł drzwi otworzyć, gdyż były na klucz zamknięte.

Do pokoju wszedł Wojciech Żołędziak. Mizerny był bardzo, żółty, wychudzony. Snać musiał ciężko chorować i niedawno z łóżka się podniósł.

— Pochwalony Jezus Chrystus — rzekł księdza w rękę całując, poczem schylił mu się do kolan.

— Na wieki wieków. Jak się macie Wojciechu?

— Ot jak pan Bóg w swojem miłosierdziu daje, proszę łaski jegomości. Jeszcze się człowiek przy pomocy Panny Najświętszej dźwignął. Ale źle już było, bardzo źle!

— Zapalenie płuc to ciężka choroba — proboszcz potwierdził. — Miałem i ja to raz za młodu, więc wiem jak smakuje. Teraz, mój Wojciechu, trzeba szanować się i nie puszczać się na jezioro podczas burzy. Nie jesteście przecie sami, macie żonę, dzieci... Życie wasze nie należy już tyle do was, co do nich, słyszycie Wojciechu?

— Ta słyszę, proszę łaski jegomości, ale Bóg jeden wie, co dziś lepiej, czy żyć, czy umrzeć. Takie już czasy nastały, że się człowiekowi aż wątroba przewraca. Strach co tu się dzieje! Chyba już sam sąd ostateczny nadchodzi.

Rybak miał minę tak zafrasowaną, że to proboszcza uderzyło.

— Stało wam się co Wojciechu? — zapytał.

— Mnie samemu, dzięki Bogu nic się teraz złego nie przydarzyło, ale boję się, żeby na nas wszystkich nie spadło wielkie nieszczęście.

— Na cóż się więc zanosi?

— Nasi gospodarze we wsi opowiadają, że ci trzej niemcy drapichrusty, co tam na kraju mieszkają, podali do ministra prośbę, którą im profesor napisał, żeby nasz Trzciniec katolicki zmienił na luterański Schilfdorf. Oj! proszę łaski jegomości, jakby miało przyjść do tego, to niechby wpierw starego Żołędziaka na mary położyli.

Proboszcz bardzo się zachmurzył. Prędko jednak czoło wypogodził i rzekł.

— Nie róbcie sobie nic z tego Wojciechu i powiedźcie także innym gospodarzom, ażeby się nie martwili bezpotrzebnie. Przecie wolno psu nawet na Pana Boga szczekać, wolno więc i im, za to, że na naszej ziemi kawałek chleba znaleźli, występować przeciw starożytnemu nazwisku Trzcińca. Ale chcieć i módz, to jeszcze nie jedno, mój Wojciechu. Przecie we wsi jest trocha więcej polskich gospodarzy, niż ich, więc się nie damy.

Rybak w głowę się poskrobał.

— Bodaj się słowa jegomości święciły, ale ja się czegoś boję, że będzie źle... Jużem ja ich dobrze poznał tych luterjanów i wiem co w nich siedzi. Żadnemu z nich proszę jegomości, nie można wierzyć. Każdy jeno czyha na biednego polaka i katolika, jak nieprzymierzając bies na grzeszną duszę. Jakby nam jeszcze nasz poczciwy Trzciniec naciągnęli na swoje kopyto, tak zaraz bym wszystko sprzedał i poszedłbym choćby do samej Ameryki.

— Wojciechu! co wy mówicie, a niechże was Chrystus Pan oświeci! — ksiądz gromkim głosem zawołał. — A piękniezby to było i po katolicku, jakbyśmy tak prędko ręce opuszczali? Co wart syn, który w ciężkiej doli matkę porzuca? A wszak ci takiemu pan Bóg nie da błogosławieństwa za życia, ani po śmierci nie wpuści go do swego królestwa! Martwiliście się, gdy Jasiek szedł do Berlina, poczytując to słusznie za odstępstwo, a wy sami zrobilibyście lepiej, wynosząc się do Ameryki? O! Wojciechu! Wojciechu! nie spodziewałem się że od was coś podobnego usłyszę.

Na żółtą twarz rybaka wystąpił blady rumieniec. Poruszył się niespokojnie, jakby nie wiedział co z sobą począć, potem zbliżył się i księdza ujął za kolana.

— Ta niech jegomość w łasce swej na mnie się nie gniewają — rzekł z uśmiechem, na który się silił, minę bowiem miał wielce zaklopotaną. — Ot człowiek głupstwo powiedział, bo mu się wyrwało, ale w sercu ja tego nie mam... Przecie Wojciech Żołędziak nie zapomniał nauk, których tyle już usłyszał, ale że mi bardzo markotno jak pomyślę, co te luterjany chcą z nami zrobić, to jegomość w łasce swej zrozumieją i biednej duszy przebaczą.

— No, no, przecie ja się na was nie gniewam Wojciechu — odrzekł ksiądz łagodnie, kładąc rękę na jego głowę. — Każdemu coś się wyrwać może, ale przestrzegajcie, mój przyjacielu, żeby takie rzeczy nie wyrywały się nigdy przy innych, zwłaszcza przy ludziach młodych, niedowarzonych, bo toby ich mogło zgorszyć i zepsuć. A pamiętacie co Chrystus Pan o tych mówił, którzy drugich gorszą... No, no, nie martwcie się i bądźcie dobrej myśli. Wprawdzie ciężkie czasy nastały, ale ufajmy w boskie miłosierdzie i we własne siły. Kto sobie pomaga, tego Bóg nie opuszcza. Mam ja nadzieję, że do tego nie przyjdzie, iżby nam Trzciniec po niemiecku nazwali, ale choćby nawet to zrobili, bo oni strasznie się zawzięli na nasz naród, to jeszcze nie zginiemy. Nowa nazwa będzie na tablicy, a stara w naszych sercach zostanie.. Nasz słowiański Wrocław Bóg wie kiedy *Bresslau* przezwali, a mimo to do dziś każdy z nas nazywa to miasto po dawnemu. A Kołobrzeg, ten tam, nad morzem, czy nie przechrzcili na *Colberg*? Święty nasz Krzyż na *Kreuz* a Rogóżno na *Rogasen*, Leszno na *Lisse* i tak dalej bez końca? Nazwa mój Wojciechu, nie stanowi wszystkiego, jeno duch! Będziemy się więc bronili, opierali, protestowali, wszelako w ostateczności, jeźli już nic nie pomoże, przyjmiemy i to na nasze barki, bo nam Bóg miłosierny pozwoli udźwi-

gnąć i tę nową krzywdę. A teraz Wojciechu posłuchajcie, bo mam wam coś ważnego powiedzieć.

Tu proboszcz, w słowach krótkich a treściwych, zapoznał rybaka z ogólnem położeniem w Wielkopolsce, przyczem główny kładł nacisk na prześladowanie religji i wypieranie zewsząd nauki języka polskiego. Objaśniwszy instytucję misjonarzy, nadmienił w końcu, że ponieważ za dni kilka jeden z takich księży obejmie parafję w Romanowie, przeto obowiązkiem jest wszystkich dobrych katolików, tak miejscowych, jak okolicznych, słuchać go jak kapłana prawowitego, wspierać we wszystkiem i w potrzebie ratować.

Rybak słuchał, wąsami ruszał, zębami zgrzytał i oko gniewem mu płonęło, i ledwie proboszcz skończył, zawołał:

— Jak człowiek tego słucha, proszę łaski jegomości, to czuje że taki gniew go porywa, taki robi się rozżarty, że nie ustąpi, choćby go mieli zabić. Kiedy chcą, to będą mieli! Męczą nas, dręczą, kunirują, a my im pokażemy, że się nie damy!

— Tak, to mi się podoba, mój Wojciechu!— ksiądz odrzekł wesoło. — Trzymać się, bronić, nie dać się, a nie ręce opuszczać! Powiedźcie mi teraz, co robi nasz profesor?

— Ta co, znęca się jak może nad dziećmi katolickiemi. Nie dawno temu mówił synowi Macieja Króla, że powinien przezwać się König, bo to brzmi polityczniej, małego Leśniaka zaś, tego co to nie ma ani ojca, ani matki, sam już Waldmanem nazywa, a właśnie wczoraj zapowiadał w szkole, co moi chłopcy także słyszeli, że już niedługo zacznie i świętej religji uczyć po niemiecku.

— Potrafimy zwichnąć złe zamiary — ksiądz przerwał. — Jeżeli będzie potrzeba, wniesiemy skargę do rejencji, potem do ministra, zgłosimy się wreszcie do naszych posłów w Berlinie. Wszelako nim do tego przyjdzie, musimy dalej myśleć o sobie. Ten człowiek nie ma misji kanonicznej, Bóg więc wie jak on religji uczy... Jutro, po nieszporach, niech się więc znowu zejdą do mnie chłopcy, wasi innym to zapowiedzą, trzeba pamiętać o ich duszy... A o Jaśku co słychać?

— Ta nic, proszę łaski jegomości. Siedzi w Berlinie, ta siedzi... Ja do niego nie piszę, bom się zagniewał, ale on zgłasza się czasem do matki. Mówiła mi tu kiedyś moja stara, że już lada dzień dobre miejsce dostanie. Dałbym to Bóg, choć mnie się widzi, że on miejsca nie zagrzeje, bo to wielki nieroba. Matczysko gryzie się straszliwie, bo okrutnie kocha, płacze, pół dnia zawsze pod piecem przesiedzi i choćby ją nie wiedzieć o co pytać, gęby nie otworzy.

— To wam z tem lepiej Wojciechu, bo się przynajmniej teraz z wami nie swarzy — ksiądz żartobliwie zauważył.

— Ej, niechby się ta i swarzyła, byle nie płakała a była zdrowa. Ona, proszę łaski jegomości, jeno język ma zły, serce to u niej dobre, że do rany przyłożyć... Poczciwe kobiecisko, tylko bardzo krzykliwe... Ale, jak powiadam, niechby ta i krzyczała, bo to przecie nikomu nie szkodzi, byle się nie gryzła i nie marniała

— Może Bóg da, mój Wojciechu, że i to się zmieni. Jaśka waszego znam przecie od dziecka, więc też wiem co w niej siedzi. Niezły to w gruncie chłopczysko, nawet serce ma dobre, tylko straszliwie znarowił się w złej kompanji, a potem wojsko do reszty go popsuło. Jemu zdawało się, że jak pójdzie do Berlina, to od razu będzie panem. Zobaczy czy to się ziści. Niemczyska nie mają co jeść u siebie i aż do nas lezą, chociaż my ich tu wcale nie zapraszamy, a on myśli, że oni mu dadzą u siebie kawałek lekkiego chleba Prędzej mu go wydrą. Przekona się i potem do rodziców się nawróci.

— Doprawdy? Mogłoby to być, proszę łaski jegomości? — rybak uradowany zapytał.

— Mnie się zdaje, że to z pewnością nastąpi. Lecz pytanie, czy wy byście go przyjęli?

— A syna marnotrawnego czy nie przyjął ten ojciec w biblji, o którym jegomość już nie raz nam opowiadali? Wszak ci to moja krew i ciało, i serce za nim boli mnie okrutnie.

— Skoro takiej jesteście myśli, Wojciechu, to miejmy nadzieję, że stanie się, com powiedział. Przeczucie oddawna mi mówi, że Jasiek długo tam nie wytrzyma. Już nie jeden ztamtąd wrócił boso, choć w dobrych butach pojechał.

— Niechby i boso wrócił, byle raz był! — rybak zawołał.

— Wróci, wróci!

Gdy niedługo potem Żołędziak z probostwa wychodził, był weselszy, rzeźwiejszy, zdrowszy. Rozmowa z proboszczem, który umiał każdemu trafić do serca, dodała mu otuchy. Myśl, że niemcy ukochany jego Trzciniec, może już niedługo przezwą Schilfdorfem, nie przestraszała go więcej, gdyż zrozumiał, że w obec tego co nad krajem wisiało, zmiana nazw pojedyńczych osad lub miasteczek, była stosunkowo najmniejszem złem. Zresztą Żołędziak, tak samo, jak inni we wsi gospodarze, jak w ogóle wszyscy polacy, stokroć prędzej zniechęcał się drobiazgami, które drażnią, niż ważnemi rzeczami. W wielkich cierpieniach nabierał sprężystości, energji, nawet zapamiętałej zuchwałości i wtedy prędzejby zginął, niżby ustąpił. To też do domu wracając, czuł już głęboko, że na ziemi swojej wytrwa i przez nikogo na świecie nie da się z niej wyrzucić. Do wzmocnienia jego woli, przyczyniła się także w wysokim stopnia pociecha, którą proboszcz wlał mu do duszy, przepowiadając nawrócenie się Jaśka.

Nazajutrz po tej rozmowie, a była to niedziela, kancelarja parafialna zaczęła zaraz po nieszporach napełniać się młodzieżą obojej płci. Były to dzieci włościan miejscowych, które ks. Błażej raz na tydzień u siebie zgromadzał, żeby z ust jego własnych słuchały różnych nauk. Chociaż mógł to był czynić po nabożeństwie w kościele, nie robił tego głównie z tej przyczyny, że w kościele musiałby mówić tylko o religji, tymczasem on pragnął wdrażać dzieciom w pamięć także wiele innych rzeczy, które za pożyteczne uważał.

Wkrótce pokój wypełnił się po brzegi. Między dziećmi było najwięcej twarzy żywych, sprytnych, z oczami bądź wpatrującemi się bystro w proboszcza, bądź przerzucającemi się szybko z przedmiotu na przedmiot; rzadko gdzie spotykało się fizjognomję bezmyślną, głupkowatą. Dzieci z początku trącały się, czasem nawet jeden chłopiec dał drugiemu w bok kułakiem, każdy bowiem chciał być w pierwszym rzędzie, lecz gdy proboszcz zawołał: cicho! żywa fala natychmiast się uspokoiła i odtąd nawet szmeru nie było słychać.

Jędruś i Michałek Żołędziaki stali między pierwszymi.

Zaczęła się nauka katechizmu. Ksiądz zapytywał o poszczególne artykuły wiary, o przykazania tak boskie jak kościelne, kazał je dzieciom wymieniać, tłumaczyć, ilekroć zaś które z nich utknęło, a inne nie mogło go wyręczyć, spieszył sam z pomocą i słowem przystępnem, acz barwnem, objaśniał im obowiązki człowieka i uczył kochać bliźniego. Dzieci słuchały, każde słowo w pamięć im się wdrażało i chociaż proboszcz nie mówił im ani o grze w piłkę, ani o puszczaniu smoka papierowego, mimo to widać było po ich oczach, że im ta nauka prawdziwą przyjemność sprawiała.

— Powiedz mi Jędrusiu — zwrócił się przy końcu katechizacji do małego Żołędziaka — które też między grzechami głównemi są najgłówniejsze?

— Lenistwo! — proszę księdza proboszcza.

— A drugi?

— Obżarstwo!

— Powiedz mi teraz, ty Walek — tu wskazał palcem na chłopca pod murem — czemu lenistwo jest cięższym grzechem niż inne?

— Dlatego, że jak będziemy leniwi, to nie będziemy pracowali, a jak nie będziemy pracowali, to nas niemcy wykupią i ztąd wypędzą, bo oni są pracowici.

— Dobrze... Teraz powie nam Maciek Cietrzew, czemu obżarstwo jest także wielkim grzechem?

— Dlatego proszę księdza proboszcza... dlatego.

Chłopiec zaciął się i ani rusz dalej. Brzuch jego wydęty i tłuste policzki zdawały się świadczyć o dobrym apetycie i nie zbyt wielkiej wstrzemięźliwości ich właściciela.

— Nie wiesz Maciusiu, dla czego? — ksiądz z uśmiechem zapytał. — Skoroś zapomniał, więc nam to powie Michał Leśniak.

Ten szybko naprzód się wysunął, bo stał w tyle, prawie na końcu i rezolutnie tak odpowiedział:

— Obżarstwo, proszę jegomości dla tego jest jednym z najcięższych grzechów, że katolik, który dużo żre, dużo wydaje, a takiego co dużo wydaje, potem niemiec luterjan zje.

— Więc co trzeba robić, chłopcze?

— Oszczędzać, proszę jegomości i starać się jeszcze od niemców ziemię odkupić.

— Dobrze. A teraz, który z was chłopcy, powie mi prędko, kto najciężej grzeszy przeciw Duchowi świętemu?

Kilku ręce podniosło, kilku zawołało: Ja! Ja!

— Pomału, nie razem, po jednemu. Chodź najpierw ty Grzesiu i powiedz jeźli wiesz.

— Wiem proszę jegomości. Przeciw Duchowi św. ten najbardziej grzeszy, kto zanadto liczy na miłosierdzie boże.

— A jak mi to Szymek innemi słowy wytłumaczy? — zapytał chłopca drugiego.

— Ten zanadto liczy na miłosierdzie boże, kto myśli, że sam Pan Bóg wszystko za niego zrobi.

— Więc jak powinni postępować polacy, katolicy?

— Trzymać się razem, pracować aby nie dać, się niemcom, bo Pan Bóg dopiero wtedy im dopomoże, jak zobaczy, że są tego warci.

— Dobrze chłopcze, dobrze.

Blisko godzinę trwała katechizacja, proboszcz stał na gruncie ściśle religijnym, ale mimo to szukał wszędzie sposobności, by rzeczy duchowne łączyć ze świeckiemi, gdyż wierzył, że w ten sposób najsumienniej spełnia podwójne swoje obowiązki jako kapłana i syna ziemi, która go na świat wydała.

Po katechizmie zwrócił się do najbliżej stojącego:

— Jaka bitwa była największa na świecie?

— Pod Grunwaldem.

— I kto kogo tam pobił?

— Król polski, Władysław Jagiełło na czele wojsk sławiańskich, pobił dwieście tysięcy krzyżaków-niemców.

— A za co ich bił?

— Za to, że chcieli słowiańskie ziemie zabrać.

— Dobrze więc zrobił, mój chłopcze, że im kurtę skroił. Ale co potem złego uczynił?

— Że ich całkiem nie rozgromił.

— Prawda... prawda — ksiądz potwierdził i dodał ciszej, jakby do siebie: — Da jeszcze Bóg, że to powetujemy.

Teraz pytał kolejno chłopców, w jakich jeszcze bitwach z niemcami polacy zwyciężali, a gdy zadowalniające otrzymał odpowiedzi, rzekł sam na końcu:

— Była jeszcze jedna bitwa, moje dzieci i to niedawno, przed trzydziestu kilku laty, pod Miłosławiem, w której niemcy także uciekali. Ojciec Stacha Wrzeszcza dostał tam szablą przez twarz i dla tego jeszcze dziś ma taką bliznę.. Niech mi jeszcze kto powie, jakie wojsko było najlepsze?

— Polska hussarja proszę jegomości!

— Czemu?

— Bo jak hussarja szła do ataku, to wszystko przed nią uciekało.

— Pod Kircholmem proszę jegomości — drugi chłopiec zawołał — trzy tysiące hussarji wybiło w pień ośmnaście tysięcy nieprzyjaciół.

Po tych słowach inni chłopcy zaczęli wymieniać bitwy w których wsławiły się kopje polskich hussarzy. Ksiądz słuchał, uśmiechał się, niekiedy poprawiał, a gdy nareszcie wyczerpał się ten przedmiot, zaczął im opowiadać o różnych krajach, co niegdyś należały do Rzeczypospolitej polskiej, o jej ludach i językach, któremi mówiły. Dzieci słuchały z niermiernem zajęciem, a chociaż już dwie godziny upłynęły, jak tu przyszły, mimo to żadne się z nich nie oddaliło.

Na odchodnem, te co najlepiej odpowiadały, dostały po obrazku.

VII.

W tydzień po bytności u dziekana, otrzymał ks. Błażej od niego uwiadomienie, że już wkrótce przyjedzie doń ks. misjonarz, którego będzie musiał zainstalować w Romanowie.

W trzy dni później zjawił się w rzeczy samej na probostwie w Trzcińcu, człowiek młody, przystojny, z czarnym wąsikiem i czarnemi oczami. Przyjechał pocztą z dwoma kuferkami. W jednym miał swoje rzeczy, w drugim przybory kościelne. Ks. Błażej przeczytawszy list dziekana, który misjonarz z sobą przywiózł, ucałował go jak brata i aby drogiego czasu nie tracić, o co dziekan prosił, jeszcze tego samego dnia wieczorem, odwiózł go do Romanowa końmi pana Milińskiego.

W Romanowie przedstawił młodego kapłana członkom komitetu kościelnego i jeszcze kilku włościanom, którzy przyrzekli trzymać go u siebie, by dla uniknienia oczu nieprzyjaźnych nie potrzebował mieszkać na probostwie i poruczywszy go boskiej opiece, wrócił sam do Trzcińca. Odtąd regularnie co drugi dzień zaglądał do Romanowa, by sąsiada wspierać radą i czynem.

W tym czasie przypadł odpust w Romanowie. Ponieważ ludu okolicznego miało zebrać się dużo, przeto obadwa księża spodziewali się, że w tym dniu żandarmi i tajna policja zawitają także w te strony, by się przekonać, czy który z księży nie wykracza przeciw ustawom majowym. Chociaż proboszcz trzciniecki wiedział, co go czeka, jeźli w parafji sąsiedniej, bez pozwolenia władzy będzie spełniał jakąkolwiek funkcję kapłańską, mimo to przyrzekł misjonarzowi, że przyjdzie do niego na odpust z kazaniem.

W dniu oznaczonym kościół w Romanowie nie mógł pomieścić wiernych, tyle ich się z wszystkich stron naszło. Prócz włościan było wielu obywateli okolicznych, między nimi baron Fryderyk Zarnecke, państwo Milińscy z hrabiną, Antosią i panem Bielskim, który odkąd się dowiedział, co tu niemcy z księżami wyrabiają, jeszcze bardziej ich nienawidził, co często dokumentował siarczystemi przekleństwami. Już po rozpoczęciu nabożeństwa przyjechali także obadwa hrabiowie wągrowscy.

Misjonarz nauczony doświadczeniem swoich kolegów, że ostrożność nigdy nie zaszkodzi, a często może pomódz, wybrał we wsi kilkunastu chłopaków i tych przed nabożeństwem rozstawił na wszystkich drogach i ścieżkach prowadzących do Romanowa. Mieli oni w razie gdyby ujrzeli, jaką bądź figurę podejrzaną, dać natychmiast znać o tem do kościoła. Misjonarz spodziewał się, że w ten sposób w czas ostrzeżony, będzie mógł uniknąć uwięzienia.

Nabożeństwo rozpoczęło się bardzo uroczyście. Ks. Błażej wystąpił z kazaniem, które wszystkich do łez rozczuliło, nawet pan Bielski do płaczu w stanie trzeźwym nie bardzo pochopny, miał oczy wilgotne i wąsy, na znak żałoby, po brodzie spuścił. Po kazaniu nastąpił dalszy ciąg sumy. Zaledwie jednak ks. misjonarz spiewać zaczął, w kościele zrobiło się zamięszanie, przy drzwiach wchodowych zaczęto szemrać, potrącać się, gdzie niegdzie wyrywały się także głosy: Jadą!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 8. Października 1888 r.

W świecie „pora martwa“ dopiero się skończyła i nie zdarzyło się jeszcze nic takiego, coby zasługiwało na omówienie na tem miejscu. Za to w naszej ściślejszej ojczyznie mamy dwa fakty: zbrodnię w Kukizowie i projekt wykupna propinacji, którémi wszyscy się zajmują. Nie wiem kto chciał zabić ks. Tchórznickiego, nie znam także osób uwięzionych, na które padło podejrzenie, iż to one dopuściły się tej zbrodni ohydnej, ale za to wiem nie od dziś, że źle jest, jeżeli ludzi którym się jeszcze winy nie udowodniło, piętnuje się jako złoczyńców. Cała wyższość kodeksu francuskiego nad wielu innemi, polega na tem, że kiedy prokurator austrjacki lub niemiecki z góry powiada oskarżonemu: „tyś winny, a jeźliś niewinny, udowodnij mi swoją niewinność“, przeciwnie prokurator francuzki przez cały tok rozprawy tak postępuje, jakby obżałowany był niewinnym, i dopiero z nagromadzonych faktów, jego winę wyprowadza. Tymczasem u nas znaleźli się nietylko ludzie, nawet dzienniki, które w każdego chciałyby wmówić, że sprawcami zbrodni kukizowskiej nie jest nikt inny, jeno ci, których uwięziono. Ależ panowie, niebądźcie surowsi od samego prawa i pomnijcie, że nawet niewinnym ludziom już nie raz głowy ucinano. Jeźli mamy z istotnymi zbrodniarzami do czynienia, dość jeszcze czasu będzie aby ich potępić!...

Co do propinacji, ta mimo niechęci naszych posłów do projektu rządowego, prędzej lub później zniesioną zostanie, boć czas już najwyższy aby usunął się ostatni zabytek ze smutnej epoki pańszczyźnianej; zachodzi jednak obawa, że szlachta nasza wziąwszy indemnizację, miasto obrócić ją na polepszenie gospodarstwa, zacznie znów hulać i wojażować póki wszystkiego do grosza nie straci. A pamiętajmy, że będzie to ostatnia gotówka, jaką jeszcze w ręce dostaniemy. Strwoniliśmy indemnizację pańszczyźnianą, obciążyliśmy dobra długami bankowymi po same brzegi, wyrębaliśmy lasy, a jeźli teraz propinacja pójdzie nam marnie, natenczas każdy właściciel tabularny przyistoczy się rychło w kwiczoła, o którym Chochlik dowcipnie powiedział, że jest to latający szlachcic sanocki.

Jeźli prawdą jest, co mówią poeci, że najpiękniejszym tworem boskim jest kobieta, to mieszkańcy Spaa śmiało mogą powiedzieć iż mieli u siebie przedsmak nieba, ponieważ pierwsze piękności świata, znajdowały się w murach tego malutkiego miasteczka. Z wszystkich stron świata zjechały się tam kobiety znane z urody, dzienniki zaś zapewniały że było tam przeszło 60 takich, z których każda mogła ubiegać się o nagrodę. A że nagród było tylko kilka, więc łatwo możemy sobie wyobrazić, jaki tam został spotrzebowany zasób spojrzeń, westchnień, uśmiechów, może nawet łez, byle rozczulić rzeczoznawców i dobrze ich usposobić! Powiadają, że największego kontyngensu dostarczył demi-monde, lecz czy można się temu dziwić? Choć każda kobieta pragnie być uznana za czarującą, nie każda jednak chce wystawiać swoje wdzięki na widok publiczny, zresztą weźmy i to na uwagę, że wieśniaczki między któremi, zwłaszcza we Włoszech i Hiszpanji, snajdują się skończone piękności, z pewnością do Spaa nie pojechały, bo albo im pieniędzy na drogę brakowało, bądź też o konkursie wcale nie wiedziały; prawdziwe arystokratki, a między temi ileż jest kobiet olśniewających, nie wzięły także udziału w konkursie. Tym sposobem do popisu stanęły głównie aktorki, kelnerki i t. p. Nagrody otrzymały dwie francuzki, jedna belgijka i dwie wiedeńki, i wszystkie, jak można było przewidywać, należały do klas wyżej oznaczonych. Rozważywszy to wszystko należycie, musimy zawyrokować że konkurs w Spaa nie był ani uniwesalny, bo nie objął wzzystkich piękności; ani sprawiedliwy, gdyż nie został roztrzygnięty przez rzeczoznawców wszystkich ras i narodów. W obec tego piękne nasze czytelniczki mogą być całkiem spokojne, bo kto wie czy między niemi nie znalazłaby się taka, którąby otrzymała pewnie pierwszeństwo, jeźliby tylko konkurs odbywał się w innych warunkach!...

p.

OSTATNIE PRAGNIENIE.

Niedość, że mam umierać — jeszcze czyjąś duszę
W szponach smutku i żalu pozostawiać muszę!
Jeszcze na czyjeś oczy, co mi słońcem były,
Ma padać czarnym kirem cień mojej mogiły!
Ach! o ileż spokojniej szedłbym w kraje mroku,
Wiedząc, że łzy w niczyjem nie zostawiam oku,
Że śmierć moja nikomu nie będzie żałobą,
Że niczyjego szczęścia nie biorę ze sobą...
Nawet pamięci nie chcę — chyba w sercu dziecka;
Pamięć tłumów, rzecz marna, pusta i zdradziecka.
Niech zniknę, jak przy słońcu znika mgła na łące,
Niech roztopnę, jak rankiem topnieje głos dzwonu...
Chciałbym odejść spokojnie; chciałbym w chwili zgonu
Mieć w sobie i przy sobie pogodę i ciszę
I pewność, że *tam* płaczu swoich nie usłyszę;
Chciałbym wiedzieć, że cierpieć nie będą kochani
I że ze strasznej żalów pośmiertnych otchłani
Wybawiłem dziecięcą duszę i niewieścią —
Ja, com tę otchłań własną przemierzył boleścią!

Wiktor Gomulicki.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego."

(Ciąg dalszy.)

Wszyscy parsknęli głośnym śmiechem. Kazio aż się przechylił na fotelu — Z balkonu dochodził poważny głos Szczerby, przerywany entuzjaztycznemi okrzykami ludu.

— I owszem — wyjdę — odrzekła Ema śmiejąc się — ale dopiero wtedy kiedy wy panowie będziecie tam wszyscy stali pod balkonem poprzebierani za obdartusów, krzycząc „hurrah"! Tylko zamiast tej niedźwiedziej muzyki musicie mi zagrać walca Straussowskiego lub galopadę.

— Wiwat — Wiwat! Szczerba! krzyczały tłumy w ulicy, głusząc nawet muzykę

— Jestem więc wybrany! zwyciężyłem! — rzekł Szczerba, powróciwszy do swego pokoju i oddychając jeszcze szybko po przebytem dopiero co wzruszeniu. Przemawiać do ludu, to rzecz nielada; wymaga to niepospolitej zręczności ażeby nie powiedzieć za mało, a tem bardziej za wiele — potrzeba także użyć pewnego natężenia głosu, pewnej modulacji, którąby utwierdziła słuchaczów w tem mniemaniu, że słowa idą wprost z serca.

Mówca w takim razie, jakiegokolwiek byłby temperamentu, ulega pewnemu rodzajowi sztucznego uczucia, które nie przenika go naturalnie do głębi, ale wystarcza, aby wibracji głosu nadać ton pożądany i wywołać entuzjam słuchaczy. Da się to porównać z tem naprężeniem nerwów u najwprawniejszych i najbardziej rutynowanych aktorów na scenie; aktorów, którzy już dawno opanowali sentymentalność towarzyszącą pierwszym krokom ich karjery artystycznej, w pewnych danych chwilach potrzebują jednak tego fizycznego wzruszenia nerwów i całego organizmu i umieją wywoływać je sztucznie, tak samo jak układać maskę twarzy.

Jest to senzacja więcej przyjemna nawet niż przykra, krew bije szybciej, pulsuje pod skórą, jakby po butelce starego węgrzyna, oczy zapalają się płomieniem, a nawet w końcach palców doznaje się lekkiego drżenia, w całem zaś ciele uczuwa się silne ożywienie.

Szczerba zamknął dzwi, ażeby nie słyszeć śmiechu i gwaru rozmów dochodzących z salonu i usiadł przy stole, na którym leżały rozłożone arkusze rubrykowanego papieru, zapisane kolumnami liczb. Przed kilku godzinami przerwał tę pracę, wskutek niepokoju, jakim go nabawiała niepewność ostatecznego wyniku walki wyborczej. Była to ciężka praca: kontrola rachunków przedsiębiorstwa eksploatacji kopalni węgla, jakie prowadził w spółce z jednym z bankierów wiedeńskich.

Od dłuższego czasu Szczerba spekulował w dość ryzykowny sposób, aby i złotego cielca przykuć do nóg swych! Nie był stworzonym do marnych zabiegów za złotem wytrącało go to ze zwykłego spokoju, wstrząsało jego nerwy; lecz ulegał smutnej konieczności, w jakiej powiło go życie, jakie prowadził, musiał podtrzymać blask domu i rozumiał, że droga, którą obrał, wymaga niezbędnie pełnego wora złota, jeżeli ma doprowadzić do celu.

Ta ciągła utarczka ze złotem i banknotami, które wymykały się z jego rąk, niecierpliwiła go, drażniła; był przekonany i słusznie, że ta walka i niepewna sytuacja finansowa zabierają mu połowę zdolności i sił. Pochylił się nad stosem rachunków i szybciej przebiegał wzrokiem kolumny cyfr, zaznaczając niektóre miejsca ołówkiem czerwonym lub niebieskim.

— Jeżeli jeszcze ta spekulacja na kopalni powiedzie się, wtedy stanę na pewnym gruncie! Byle zwalczyć tę ostatnią przeszkodę — mówił półgłosem — byle się to udało! Lecz musi się udać! Fortuna mi służy wiernie!

Uśmiechał się a koło ust rysowało się lekkie, ledwie dostrzegalne nerwowe drganie, na całej twarzy rozpostarł się wyraz roznamiętnienia. Był to, jakby krok jeden dalej w życiu tej głowy spokojnej dotychczas i rozważnej opierającej się w walce rozumem, spokojem i powagą. Nareszcie ogień namiętności pochwycił i ją także i obwionął swym gorącym płomieniem.

W uszach brzmiały jeszcze entuzjastyczne okrzyki tłumu, a wspomnienie to kołysało go, przyspieszało tempo uderzeń serca.

— Życie nie odmawia niczego rozumnym i śmiałym! — rzekł surowo — słysząc bezustannie tysięcznym echem powtarzane: Wiwat! Szczerba! Wiwat!

VIII.

W dolnej sali pałacyku przy Praterze, który od trzech lat zamieszkiwał z rodziną deputowany dr. Szczerba, służba kończyła ustawiać meble i kwiaty, otrzepując resztki pyłu jaki się mógł gdzie zatrzymać. Ema w pantofelkach i aksamitnym płaszczu przebiegała sale, oglądając czy wszystko zostało zrobione wedle rozporządzenia i zarumieniona, z błyszczącemi z radości oczyma, przypatrywała się tej wielkiej sali białej ze złotem, zastawionej kanapkami i krzesełkami à l'empire na cienkich rzeźbionych nóżkach, wyścielonych miękko i obitych białym atłasem. Wysokie liście palm, rozłożyste wachlarze latanii sięgały aż do wysokości galerji dla orkiestry i mięszały się z złoconymi festonami rzeźbionych kwiatów, delikatne mimozy ustawione w przepysznych wazonach z porcelany, poruszały się i drżały za najlżejszym prądem powietrza.

W kilku miejscach ustawiono klomby owalne lub okrągłe złożone umiejętnie, artystycznie z kwitnących białych i różowych azalii, liljowych iris i bzów, alpejskich fioł-

ków i róż, które jasnym swym ciepłym kolorytem ożywiały jednostajną białość sali. Z olbrzymich tych bukietów parowała woń delikatna, przenikająca powietrze. Kilka obrazów na ścianach: dużych płócien, śmiejących się wesołością wiosny, różowością ciał i złotem słońca, przeważnie kopje Makarta i nic nadto, nic coby psuło wesołą harmonię tej sali balowej. Ema z uśmiechem przyglądała się wszystkiemu, zadowolona ze spełnionego kaprysu z tego salonu urządzonego umyślnie na dzień balu: a w którym meble, obrazy, kwiaty, roboty tapicerskie aż do firanek i drobnych gracików, wszystko było dotychczas własnością dostawców. Lecz ta okoliczność bynajmniej nie zaciemniała czoła pięknej kobiety. Ema nie zbyt dokładne miała wyobrażenie o rachunkach i wartości pieniędzy: za to tem lepiej wiedziała, że jej pięknej i młodej i uwielbianej należy się wszystko, czego zapragnie! Wszystko to zresztą było w istocie tanie, kosztowało zaledwie kilka tysięcy reńskich... nie wiedziała dokładnie ile... prawie za bezcen wybrała to wszystko, i tylko gust jej wyborny potrafił zrobić z takiej niewielkiej sumy arcydzieło w swym rodzaju. Przeszła jeszcze do jadalni, oglądnęła bufet, weszła do małego buduaru, w którym panował gorący kolor ognia i róż pąsowych, przyćmiony jedynie krzewami kamelii, których ustawiono tu mnóstwo: białe, różowe, pąsowe i nakrapiane lekko, jak skrzydła motyle, cały las kamelii, odbitych w ogromnem lustrze i mnożący się w nieskończoność! Weszła do fumoiru i skrzywiła się na dywany, które tylko imitowały perskie wyroby; powróciła znowu do białej sali, w której było najweselej.

Stanęła przy oknie i oparła głowę o szybę, słońce jeszcze błyskało ostatnimi połyskami na zachodzie, śnieg padał a grube miękie płaty latały, kręciły się w powietrzu i spadały na ramiona i plecy małego Fauna z bronzu, ustawionego w ogrodzie przed domem. Bożek wyciągał ręce i chwytał w nie spadające kiście śniegowe i uśmiechał się drwiąc z zimna, ubrany w śnieżne futerko jak w gronostaje a tylko tłuste, okrągłe nogi, brzuch i policzki błyszczały jeszcze ciemnemi metalicznemi plamami i odbijały refleksa słońca.

Przed furtką prowadzącą przez ogród do pałacyku zatrzymała się jednokonna dorożka i wysiadł z niej niski wzrostem mężczyzna ubrany w ciemne palto, na które jeszcze zarzucił gruby, angielski pled. Chwilę zatrzymał się, jakby namyślając się, czy ma odrazu zabrać z sobą i kuferek ręczny podróżny, wreszcie zdecydował się i szybkim krokiem puścił się przez ogród ku pałacowi. Wielkie drzwi od sieni stały otworem, w przedpokojach nie było nikogo, rozglądał się dokoła, zdumiony trochę, wreszcie wszedł przez drzwi na lewo i przebiegłszy dwa pokoje, bynajmniej nie zdumiony świetnością apartamentów, znalazł się w sali balowej przed panią Emą, która zmierzyła od stóp do głowy małego człowieka w ogromnym pledzie, patrzącego na nią błyszczącemi jasno oczyma z pod czarnej jedwabnej czapeczki podróżnej.

Zdjął czapeczkę i przedstawił się z ukłonem: Michał Liczko, do usług pani, bo przecież nie mylę się, pani jesteś żoną mego przyjaciela Henryka Szczerby! I pochwycił się palcami prawej ręki za czub siwiejących, zjeżonych włosów nad czołem, kłaniając się powtórnie, przyczem oczy jego wyrażały admiracją i pewien rodzaj tkliwości dla pięknej żony przyjaciela. Ema uśmiechnęła się na widok tej twarzy inteligentnej i pełnej wyrazu niewysłowionej dobroci, uśmiech tych ust bladych Liczki pociągał ją mimowoli, jak zajęła jej wyobraźnię oryginalność tej postaci.

— Henryk mówił mi nieraz o panu — powiedziała podając mu rękę — cieszę się, że mogę dziś poznać pana sama! Henryk nie wrócił jeszcze z parlamentu, można go się jednak spodziewać najdalej za godzinę. Pan zechce bez wątpienia zaczekać.

— Naturalnie! i nawet po dawnym zwyczaju miałem zamiar rozgościć się u państwa.. jeżeli otrzymam pozwolenie pani, to się rozumie! Tyle lat nie widziałem go, a Henryk proszę pani, to moja jedyna miłość na ziemi!

— O! proszę, proszę! — odpowiedziała Ema do reszty zwyciężona swobodą niezwykłą tego oryginalnego przyjaciela.

Oddajemy panu z chęcią cały dom nasz do rozporządzenia... tylko co do dzisiejszej nocy, nie zaręczam, czy będziesz pan spał spokojnie? Dziś bal u nas! Ale z pewnością zechce się pan pobawić z nami i jeśli pan tańczy...

— O! nie, łaskawa pani! o tym kunszcie nie mam najmniejszego wyobrażenia! Jestem mechanikiem z zawodu, wynalazcą ulepszonej przędzalni... ona to właśnie przyniosła mi fortunę; lecz wpzódy nie mało się człowiek naborykał z losem! A! przebacz pani, mówię tak o wszystkiem, jak gdybyśmy się znali od dawna... ale zdawało mi się, że rozmawiam z Henrykiem... całą bo drogę przez Atlantyk, myślałem ciągle o nim, do ust mi szły wyrazy, którymi miałem mu opowiadać wszystko, co mnie spotkało, co przeżyłem od dnia naszego rozłączenia. Pani wie zapewne o tej fatalnej sprawie? co? teraz wyklarowało się wszystko jak przewidywałem od razu, prawdopodobnie że i Henryk przyłożył do tego rękę, aby udowodnić i wykazać pomyłkę. Nieprawdaż, proszę pani? On się nie przyzna, wiem dobrze! Mimo wszystko co mię tam jeszcze zatrzymywać mogło, nie byłem w stanie wytrwać, wyżyć dłużej w takiem oddaleniu od kraju, i oto jestem! Ah! przebacz pani! Doprawdy, to śmieszne, że zaraz na wstępie mówię tak wiele o sobie, ale proszę pani, to prawdziwa rozkosz móc się wygadać po latach przymusowego zamknięcia się w sobie... Przez długie lata rzadko kiedy miałem do tego sposobność i czas!

Ema śmiała się życzliwie i Michał śmiał się także.

— Jak tu u państwa wesoło i pięknie! — rzkł po chwili, rozglądając się dokoła i dodał ze spojrzeniem na młodą kobietę: — Jaki ten Henryk szczęśliwy!

— Chodź pan! chodź na górę — rzekła Ema — wypoczniesz pan w gabinecie Henryka; ja wracam do mego pokoju, pójdziemy więc razem!

— A nie zapomnij pani o moim kuferku!

Ema znowu roześmiała się głośno, usłyszawszy tak kategoryczne rozporządzenie i pozwoliwszy ucałować przy rozstaniu swą rączkę, pobiegła się ubierać.

Około północy, biała sala balowa pani Emy zalana potokami światła, iskrząca od brylantów, drogich kamieni i gwiazd orderowych, pełna atłasów, koronek, śnieżnych ramion, do pół odsłoniętych biustów kobiecych i dzwięków muzyki ożyła, napełniła się tą miłą, stłumioną wrzawą balu, zupełnie od innych odmienną i charakterystyczną. Pośród wlokących się sukni, fruwających falban i wachlarzy, migały czarne sylwetki mężczyzn we frakach, jasne, jaskrawe, suto złotem ozdobione mundury wojskowych, a wszystko to oświecone połyskiem ognistym djamentów, blaskami oczu, poruszało się w takt muzyki, w jakiejś złotej

kurzawie.. robiąc z daleka wrażenie którego z prześlicznych obrazków Winei.

Za jednym z tych dużych jasnych bukietów, które tak artystycznie obmyśliła główka pani Emy, na małej kanapce Henryk i Liczko ukryli się przed ciekawymi — obaj przyjaciele siedzieli pochyleni ku sobie, rozmawiając półgłosem. — Rozmawiają już długo, od godziny może; Henryk czuje jak mu serce topnieje w jakimś serdecznym uścisku i nie usuwa już ręki z dłoni przyjaciela, dał się owładnąć urokowi tego ciepła, którego nie czuł od dawna, któremu bronił się zawsze tak uparcie. W tej atmosferze balowej, rozkosznej miękkiej i on dał się rozbroić, ukołysać — zapomniał o interesach, polityce, o kłopotach, które go zewsząd oblęgły; i słucha tego zapaleńca, jak go słuchał przed laty.

Michał Liczko, we fraku i białym krawacie na tle dużego bukietu, w którym kolor różowy całuje się z liljowym, wyglądał jak duży chrabąszcz. a gdy w zapale poruszy rękoma i wzniesie je nagłym ruchem do góry i rozpostrze, na powietrzu, to zda się, rozwija skrzydła, aby ulecieć!

Nie! Michał Liczko wyglądał w istocie jak prawdziwy gentleman; suknie jego nawet skrojone i uszyte przez doskonałego krawca, układ elegancki swobodny, zdradzały człowieka, co przywykł żyć w świecie a całą jego postać cechowała wrodzona mu szlachetność i powaga niezgodna tylko z szybkimi nerwowymi ruchami, które mu pozostały z młodości.

A to huczy ten wasz bal! — powiedział śmiejąc się — zdaje mi się, że jestem jeszcze w wielkiej fabryce, którą porzuciłem przed kilku miesiącami: koła skrzypią, huczą, zgrzytają, pasy wydają swój szept tajemniczy, a para śpiewa Tam pracują teraz!

— A czyż sądzisz, że tu nie pracują w tej chwili ci wszyscy tancerze i tancerki?! Oh! i jak jeszcze — odezwał się Henryk. — A potem bal to nietylko miejsce zabawy, uciechy! Tu załatwiają się także najrozmaitsze sprawy — najbardziej skombinowane interesa rozwikłują się w atmosferze balowej częstokroć łatwiej i prędzej, niż gdziekolwiek indziej! Oh! i my nie tracimy czasu! A te piękne damy, lekkie i trzpiotki... zda się nie więcej myślą niż motyle, a zaręczam ci, że każda prawie przybyła tu obciążona całym arsenałem spraw przeróżnych, ukrytych pragnień, intryg, a nawet i pieniężnych, czysto finansowych interesów. Nie sądziłbyś wszak prawda, aby te piękne, jasne i ciemne główki znać się mogły tak dobrze na akcjach, bankach, operacjach giełdowych, ale to teraz w modzie, zarówno jak angielskie koronki, wachlarze z piór i wysokie fryzury! No ich taniec, to także walka o zwycięztwo!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z „Sorbony" paryskiej.

Paryż 3. października.

Obok starej „Sorbony" wzniesiono już mury, przeznaczone na nowe siedlisko królowej-nauki. Kamień węgielny przed kilku laty kładł ówczesny minister oświecenia Goblet, a jak nas zapewnia p. Claretie w swem „Życiu paryskiem", robił to nie bez dumy i wielkiego wzruszenia.

Gmach, pod który w r. 1627, Franciszek de Harlay, arcybiskup Rouen, położył pierwszą cegłę w imieniu kardynała Richelieu, ma być w roku przyszłym opuszczony. Wielkie podwórze kamienne, z kościołem w głębi, opustoszeje i rzadko zapewne odgłos kroków przechodnia odbijać się będzie o poczerniałe mury, miejscami obwite bluszczem, uświęcone wielką przeszłością.

W stolicy narodu, żyjącego teraźniejszością, w mieście pełnym zgiełku i wrzawy, znaleźć można było zakątek, w którym znużona myśl wypoczywała do woli, odrywała się od nużącego życia, rwącego, jak fala górskiego potoku, naprzód i naprzód, bez wytchnienia. Ludwik Veillot pisał o Paryżu: „Ville sans passé pleine d'esprits sans amour". (Miasto bez przeszłości, pełne umysłów bez miłości.) Mickiewicz twierdził, że u nas „po psie płaczą szczerzej i dłużej niż tu lud po bohaterze", a ten, co przebiega ulice stolicy świata, próżnoby szukał starych dzielnic pamiątek przebrzmiałego niepowrotnie życia. Co jedno pokolenie stwarza, drugie burzy. Podróżny stoi w obec pomnika... teraźniejszości, a gdy wzrok jego spotka przypadkiem zabytki przeszłości, to je wita i żegna zarazem, gdyż pierwsza burza społeczna obróci w proch to, co śmiało przetrwać zakres czasu, przeznaczony dla jednego pokolenia.

W roku przyszłym otworzą się podwoje nowego gmachu w rocznicę stuletnią rewolucji, która za swych rządów zniosła Sorbonę, wskrzeszoną dopiero przez Napoleona. Nieliczne zapewne słowa żalu żegnać będą zaciszne ściany.

W „Salonie" tegorocznym widzieć lub podziwiać można było płótna olbrzymich rozmiarów, przeznaczone dla ozdoby sal Nowej Sorbony. Benjamin Constant, Flameny, Chartan, Duez, są to nazwiska malarzy, powołanych do tego dzieła. Benjamin Constant, współzawodniczący o tegoroczny medal w jednej części swego tryptyku przedstawia „wiedzę literacką". Literaturę wyrażają niewiasty piękne, ale posępne i zadumane, z brwiami ściągniętemi, surowe i bezwzględne. Obecnie nawet wiosna, miłość i poezja noszą zmarszczki na czole.

Te poważne twarze — to uosobienie krytyki, wszechwładnie panującej dziś na wszechnicy, a przenośnia tak pojęta, najlepiej odpowiada swemu przeznaczeniu.

Licząc od czasów Roberta *), teraz trzecie mury ochrzczone zostaną nazwiskiem Sorbony. W życiu umysłowem Francji odegrał ten uniwersytet pierwszorzędną rolę. Oddziaływał na pojęcia religijne, rozwijał literaturę, ale dziś ograniczyć się musiał do roli czysto krytycznej. Przeczy, ale nic nie wytwarza, związany ścisłym węzłem ze społeczeństwem, już w XIII wieku posiadał kilku doktorów, których zadaniem była nauka wypadków sumienia. Zewsząd płynęły pytania: Sorbona je rostrzygała i nakładała swe zdanie ogółowi. Zdawało się, że cała żywotność umysłowa narodu została skupioną w jej murach. Stała na czele walk religijnych, społecznych, literackich — nawet w naszym wieku. Ostatni raz zabłysnęła jako najwyższy trybunał w sporze klasyków i romantyków. Villement był sędzią mianowanym z jej ramienia. „Na trzy godziny przed przyjściem profesora — odpowiada Legouve w swych pamiętnikach — podwórzec Sorbony był opanowany przez tłum również jak sala. Możnaby rzec: dzień roz-

*) Mowa tu o Robercie z Sorbony, uczonym teologu z XIII wieku, kapelanie Ludwika IX, który założył w r. 1252 Sorbonę, to jest „zgromadzenie duchownych świeckich, którzy żyjąc wspólnie i zaopatrzeni w rzeczy do życia potrzebne, nie powinni byli zajmować się niczem więcej, jak tylko nauką i wykładami bezpłatnemi."

ruchów. Dwie szkoły literackie dały sobie tam spotkanie, jakby na polu bitwy". Villement miał zrobić porównanie między Voltaira — „Śmiercią Cezara" i Szekspira „Juliuszem Cezarem". Nie wiedziano po czyjej stronie stanie, wypowiadając swój sąd. Zaczął od najpiękniejszych ustępów z Voltaira. Klaszczą klasycy. Gdy cisza zapanowała w sali, zabrał Villement znów głos: „Miejcie się na baczności, panowie! To, co was zachwyca w tych wierszach, nie jest własnością geniuszu Voltaira; te ustępy są żywcem prawie wyjęte z Szekspira". W tej chwili klasycyzm ponosił cios śmiertelny.

Razem ze zwycięstwem romantyków święciła Sorbona ostatni swój tryumf. Ostatni raz panowała nad ogółem. Dziś literatura tworzy się po za wszechnicą, nie ogląda się na panujące tu prawa; pojęcia i powagi. Daje Sorbona dla krytyki mniej lub więcej trafne formuły, wytwarza opozycję, którą zbiera między swymi słuchaczami, kształci pewien smak, rozwija pewne upodobania, porządkuje zdobycze umysłowe, sprowadza je do jednego mianownika. Tętna jednak życia uchwycić nie jest już zdolną; zawładnąć i pokierować prądem nie czuje się na siłach.

Chcąc więc poznać duchową stronę obecnej Sorbony, trzeba mówić o jej stosunku do literatury, zamkniętej w ramach ścisłych do literatuty epok skończonych. Odrywamy pieczęcie z księgi zapisanej i w niej dopiero się zatapiamy.

Chwila obecna ma tu przecież, jak wszędzie zresztą, zanadto uroku i znaczenia. Od czasu do czasu przynajmniej Sorbona staje się echem ruchu i walk literackich współczesnych. Nazwiska Paillerona, Augiera, Cherboulieza są tu nieraz powtarzane. Słyszy się przepowiednie dla sztuk dramatycznych Sardou, który ma się przeżyć i upaść z ustąpieniem Sary Bernhardt ze sceny. Wyrzucają Dumasowi, że ze zbytnią gwałtownością narzuca swój morał publiczności. Nie wiele tu wywołuje uśmiechu wesołość Tartarina. Przychodzi kolej i na Zolę. Przy każdej wycieczce przeciw niemu, sala rozbrzmiewa oklaskami. Piękne panie, stanowiące większą część słuchaczów, odkładają na bok wytworne karneciki i biją w dłonie z niewyczerpanym zapałem.

Może mimochodem warto będzie się przyjrzeć publiczności, która się zgromadza w Sorbonie około sześciu katedr literatury francuskiej.

Rzeszy studenckiej tu mało. Sorbona w ścisłem słowa znaczeniu jest synominem nauk humanitarnych. Oprócz literatury, wykładają w jej murach filozofję. Może więc młodzież skupiła się w salach, gdzie rozstrzygają się zagadki wszechbytu i przeznaczenia? Tam jej także nie zastaniemy. Rozprószyła się w przyległych gmachach szkół prawa, medycyny i przyrody, zasklepiając się w swej specjalności. Zapewne na tem wiedza szczegółowa korzysta, ale duch maleje, przekonania nikną i człowiek wysuwa się dobrowolnie z pojęć, które stanowią niewzruszone podstawy istnienia. Więc damy zawładnęły opuszczone przez uczącą się młodziez dziedzictwo i zdają się niem bawić, urozmaicając sobie życie filozofią i literaturą.

Te same twarze kobiece można spotkać wszędzie: w łożach Izby poselskiej, na odczytach publicznych, z rana — na wystawach, wieczorem — na komedji lub dramacie, wreszcie — w salach Collége de France na wykładach Renana. Otaczają go kołem, gdy przypadkiem apostoł mglistej filozofii znajdzie się na korytarzach kolegium, które — *docet omnia.* Mały, okrągły i wygolony; w drugim surducie, jakby dopiero co opuścił mury św. Sulpicjusza *), z których dezertował; rozsyła uśmiechy na wszystkie strony. Śmiać się może zaiste człowiek, mający odwagę powiedzieć pod koniec życia: „istnienie było dla mnie dobrodziejstwem; gdyby na nowo dano mi raz jeszcze, przyjąłbym je z wdzięcznością." Każda z pań rada usłyszeć jakieś słówko profesora, który się przyznaje naraz do dwóch skromności: 1-o życia, 2-o obyczajów i do dwóch pogard: 1-o bogactw i 2-o grzeczności, a wreszcie — do czterech cnót głównych, sumiennie wciągniętych i ponumerowanych we „Wspomnieniach z dzieciństwa i z młodości". Zdanie lub aforyzm usłyszany z ust Renana, tak przyozdobi pamiętniki każdej z tych pań!

*) Seminarjum duchowne.

Bo te kobiety dawniej niepokojące filozofa Caro, wmięszane w politykę, współzawodniczące w życiu towarzyskiem, mające swych wybranych poetów i pisarzy — naśladują panie du Deffand, Roland, Récamier, a wprawne oko paryżanina rozpozna między niemi niejedną literatkę.

Niemało też posiwiałych ludzi wśród słuchaczów Sorbony. Wysłużeni żołnierze z oznakami medalu wojskowego; żółtą wstążeczką w butonierce, wątpiący może, jak żołnież Descartes, a znajdujący w nauce spokojną przystań po burzliwem życiu. Profesorowie i nauczyciele bez zajęcia, dla których konieczną jest ta atmosfera szkolna, te ławy drewniane dokoła, na które patrzyli tak długo i to żywe słowo, które kiedyś głosili, przychodzą tu często, żeby nacieszyć wzrok tem otoczeniem — bez korzyści duchowej, bo nieraz widać, jak im kleją się oczy i jak głowy opadają na piersi. „No, jakże wykład" – mówią, budząc się po godzinie poświęconej pamięci Corneilla. — Niezły, ale nie było ani wzmnianki o Molierze." A na drugi dzień, gdy mowa była tylko o Molierze: „Niezły wykład, ale ani słowa o Corneillu.."

Widać tu maniaków na których nigdzie nie zbywa, jakieś stare kobiety ubrane dziwacznie, a przywiązane do murów Sorbony nie wiem jakim węzłem: ofiary — wspomnień dawnego entuzjazmu? poetki bez sławy? a może — gryzetki wesołej epoki...

Tak jest — wesołej epoki! Gdzież się ona podziała? — pytają profesorowie, zwracając się do dawnych autorów, do teatru Bayarda, do czasów, kiedy na tronie był Ludwik Filip i życie się toczyło szerokiem korytem, swobodne i wesołe. Gdzież zniknął śmiech szczery? co się stało z wiarą w przyszłość? z brakiem troski o jutro? — z temi cechami charakteru galijskiego?

Spoczywa w tych pytaniach, obok wskazówki od sądu o osobistych usposobieniach profesorów, poważna suma niezadowolenia z obecnego porządku rzeczy, tęsknota za więcej idealnym kierunkiem w literaturze, wyraz ogólnych pragnień, Tymczasem ci ludzie, stanąwszy na gruncie abstrakcyjnej sztuki, zdawałoby się stracili wszelki dar orjentacji w współczesnych stosunkach. Gromy też padają z sześciu katedr literatury francuskiej na najzdrowszy prąd w tych czasach: na rozwielmożniającą się satyrę. A przecież „Okręt z głupcami" w Niemczech zapowiadał nową erę... Za Ludwika XI. prześladowano księgi nominalistów; okuto je w łańcuchy i żelastwa; dziś chcianoby nałożyć takie pęta na tych pisarzy, którzy się nie uśmiechają arkadyjskim śmiechem.

Ale tu w Sorbonie, tak jest i tak długo jeszcze zapewne pozostanie: rozdźwięk, raz cichszy, drugi raz głośniejszy, brzmieć tu będzie, ilekroć sława współczesnych pisarzy, jest sądzoną przez tych sędziów surowych. W dwóch instytucjach we Francji zachował się konserwatyzm *quand même* dziwny i jednostronny konserwatyzm naukowy.

Muszą księgi myśliciela pokryć się pleśnią, żeby uzyskać obywatelstwo w Akademii a zwłaszcza w Sorbonie. Chwaleni są Molière, Racine, Voltaire; inni zaledwie zasługują na pobłażanie. Victor Hugo czekać będzie długo na poklask Sorbony.

Za to w innej dziedzinie Paweł Janet, profesor filozofii po p. Caro, przedstawiciel filozofii spirytualistycznej, podjął w roku ubiegłym żywotną bardzo kwestję. Z wszystkich dotychczas stworzonych systemów filozoficznych starał się wydzielić ogólne prawdy, na które się zgodzili, mniej lub więcej, filozofowie. Te prawdy mają być podstawą filozofii, jako nauki ścisłej.

Dezydery Nisard oddał podobną usługę literaturze, wymyśliwszy znaną formułę, którą zaleca stosować wszędzie i zawsze: każdemu, prawdziwie pięknemu dziełu służą za grunt: ogólne prawdy, wyrażone nieskazitelnym językiem.

Quis.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków wyszedł z druku tom drugi. Książe Roman ze Sławuty szczodrą ręką łoży na wydanie dziejowych zabytków, które zawiera bogate jego archiwum. Po I. tomie, który w roku ubiegłym ujrzał światło we Lwowie, otrzymujemy w krótkim czasie drugi, o wiele obszerniejszy i co ważniejsza, dużo staranniej wydany. Na publikację tę zwracamy uwagę z dwóch względów: najprzód, powinnaby ona zachęcić inne rody magnackie do pomyślenia o pomnożeniu źródeł naszych dziejowych, materjałami dotąd pod korcem ukrywanymi, a powtóre, że tom obecny „Archiwum“ zawiera przeważnie dokumenty, odnoszące się do Tarnowa i jego historji, bo jak wiadomo, przeszedł Tarnów w dom Ostrogskich w XVI. wieku, a potem Sanguszków a z nim cenne archiwum, znajdujące się dzisiaj w Gumniskach. Nadto zamieszczono w tomie II. kilka aktów szerszego politycznego znaczenia między którymi najciekawszym jest list poufny Jana Olbrachta z Poznania 13. listodapa 1493 pisany do brata, dotąd nieznany a określający stosunek owoczesny Polski i Jagiellonów do Maksymiliana.

Tom II. wydany jest według wszystkich wymagań dyplomatyki. Dokonał tej pracy jak się dowiadujemy z przedmowy, p. Bronisław Gorczak, archiwista sławucki, były uczeń lwowskiego uniwersytetu. Przedmowę zaś napisał p. Z. L. Radzimiński znany z kilku studjów heraldycznych.

Jako odbitkę z II-go tomu *Wisły*, wydał p. Zygmunt Gloger swą podróż Niemnem.

Minskij listok drukuje przekład prześlicznej noweli Bolesława Prusa p. t. „Kamizelka“.

Romans i powieść rozpoczął druk opowieści p. Jaxy Bykowskiego p. t. „Kameduła“.

Z półek księgarskich. W Warszawie opuścił prasę I tom „Historji żydów“ przez p. Hilarego Nussbauma autora kilku już prac w tym zakresie.

Tom pierwszy historji jest doprowadzony do niewoli babilońskiej. Nakładu podjęła się księgarnia J. Majznera.

Największą pracą jest w tych dniach wydany „Obraz etnograficzny“ ludu cieszyńskiego, skreślony przez Bogumiła Hoffa, a wydany sumptem księgarni Arcta. Są tu opisani górale Beskidów zachodnich. Książkę zdobi mnóstwo rysunków, starannie wykonanych.

Poemat księcia czarnogórskiego Mikołaja „Ostatni z Abenseragów“ wyszedł z pod prasy przed kilkoma miesiącami w Cetynji. W handlu księgarskim poematu tego nie ma, tylko książę rozsyła go dworom panujących i znaczniejszym literatom. »*Potoni Abenseraž*«, tak brzmi tytuł w oryginale, jest przeróbką słynnej powieści Chateaubrianda »*Les aventures du dernier des Abencérages*«. Książę Mikołaj dokończył dzieła swego już w lutym r. b., bawiąc w Barze. Treść jego jest następująca: Aben-Achmet, ostatni z rodu Abenseragów, wygnanych z Hiszpanji, wraca do Grenady, aby wywrzeć zemstę na wrogach swego narodu. Tymczasem spotyka piękną hiszpankę i ta usidla jego serce. Oboje marzą o związku małżeńskim, hiszpanka pragnie nawrócić Achmeta, ten zaś chciałby zrobić z niej wyznawczynię islamu. W końcu miłość dla ojczyzny i wiary bierze górę w duszy maura i ten porzuca ukochaną. Forma i wiersz poematu są bardzo piękne, koloryt wschodni wybornie utrzymany, a w obrobieniu księcia przedmiot nabył do pewnego stopnia alegorycznego znaczenia. Przed kilkoma laty książę Mikołaj wydał dramat p. t. „Caryca Bałkańska“.

Teatr i muzyka.

W teatrze lwowskim wystawiono dwukrotnie w bm. „Lenę“ dramat w 4 aktach napisany przez Marjana Jasieńczyka (Wacława Karczewskiego). Utwor ten został odznaczony w r. 1886. na konkursie warszawskim im. Bogusławskiego i wystawiony w teatrze warszawskim pozyskał powszechny aplaus. Krytyka tamtejsza orzekła jednogłośnie, że „Lena“ jest utworem głębiej pomyślanym i zdradzającym talent wiele obiecujący. Krytyka lwowska, jak zresztą zwykle to bywa, podzieliła się na obozy skrajne. Podczas gdy jedni krytycy przyznali utworowi p. Karczewskiego zalety pierwszorzędne, drudzy odsądzili go od wszelkiej wartości pisarskiej i scenicznej. Co do nas, więcej przychylamy się do zdania pierwszych, aniżeli drugich. „Lena“ jest istotnie dramatem napisanym z wielkim talentem i jedyną jego wadą jest słaba budowa, zdradzająca pióro młode. Inne usterki giną wobec przymiotów dramatu pana Karczewskiego. w którym witamy nowego pisarza na niwie literatury dramatycznej.

„Lena“ została wykonaną u nas prawie bez zarzutu, do czego najwięcej przyczyniła się znakomita gra pani Stachowiczowej w roli tytułowej.

Teatr ruski pod dyrekcją pp. Biberowicza i Hryniewieckiego zawitał do Lwowa na szereg przedstawień, które daje w sali Tow. „Frohsinn“ w hotelu Żorża. Pierwsze przedstawienie odbyło się w niedzielę 7. b. m. Dano Kropiwnickiego obraz ludowy z życia ukraińskiego w 6. odsłonach p. t.: „Daj serciu wolu, zawede w newolu.“

Słynna artistka Teresina Zamara przybędzie do Lwowa z początkiem listopada i wystąpi z koncertem d. 6. lub 8. przyszłego miesiąca. Pna Zamara wystąpi z braćmi Kollerami pianistą i skrzypkiem, ukończonymi konserwatorzystami wiedeńskimi, obecnie profesorami szkoły muzycznej w Czerniowcach.

Goszczący w Warszawie basista, Władysław Miller, zaproszony został na szereg występów do opery cesarskiej w Petersburgu.

„Lutnia“ lwowska wykona w listopadzie „Świtezankę“ Mickiewicza z muzyką Noskowskiego, utwór symfoniczny na solo tenorowe, sopranowe, chór mięszany i wielką orkiestrę. Koncertem dyrygować będzie sam kompozytor, który z Warszawy przybędzie.

Pani Sembrich-Kochańska rozpocznie dnia 26. b. m. koncertem w Berlinie swą podróż artystyczną po Niemczech, która potrwa do Bożego Narodzenia. Po Nowym Roku wystąpi dziesięć razy w włoskiej operze w Petersburgu, następnie uda się do Moskwy i objedzie znaczniejsze miasta Rosji. Dnia 1. kwietnia rozpocznie gościnne występy w Rzymie, zkąd po trzytygodniowym pobycie uda się do Paryża, gdzie została zaangażowaną na 16 występów.

Panna Mira Hellerówna, uczennica pp. Paschalis-Souvestrów, została zaangażowaną do opery lwowskiej w charakterze primadonny mezzosopranistki. Oprócz Carmeny, w której dała się już poznać, śpiewać będzie p. H. Fides w „Proroku“, Amneris w „Aidzie“, Adalgizę w „Normie“, a nadewszystko przedstawi nam tytułową rolę w operze „Mignon“, którą zobowiązała się dyrekcja teatru w obec komisji artystycznej Wydziału krajowego do połowy grudnia br. wystawić.

Sztuki plastyczne.

Salon artystyczny w Wilnie. Założony niedawno w Warszawie przez pp. Martynowskiego i Pawłowskiego salon artystyczny otwiera filię swoją w Wilnie, a w kilku większych miastach Królestwa i Cesarstwa urządza sprzedaż komisową przedmiotów sztuki stosowanej.

Z pracowni Siemiradzkiego. Z Rzymu piszą do *Kraju* o mistrzu naszym co następujące: W jednej z najnowszych świeżo zbudowanych części *Urbis aeternae*, po za łaźniami Dyoklecjana i główną stacją dróg żelaznych, a tuż obok dawniejszego obozu pretorjanów, zajętego dziś pod koszary artylerji, zbudował Henryk Siemiradzki dom i obszerną pracownię na *via Gaeta*. Był on pierwszym pionierem w tej miejscowości, z której się wytworzyła obecnie cała dzielnica. Z płaskiego trzeciego piętra

tego domu roztwiera się przepyszny widok na rzymską kampanję i góry Albańskie i Sabińskie. Mistrz nasz używa najlepszego zdrowia; do pogłosek, które czas niejaki krążyły o jego chorobie, dało powód przypadkowe uszkodzenie palca na prawej ręce; rozjątrzenie się rany pozbawiło go było na kilka tygodni możności pracowania.

W pracowni Siemiradzkiego jest obecnie na wykończeniu płótno olbrzymich rozmiarów, które zapewne będzie figurowało na jednej z przyszłorocznych wystaw (prawdopodobnie paryzkiej). Treść do tego obrazu dostarczyły mistrzowi dzieje greckiego życia i sztuki.

Przechowało się podanie, że pewnego razu, gdy obchodzono święto Posejdona w Eleusis, słynna z piękności hetera Fryne, zrzuciwszy odzież i obuwie i rozpuściwszy włosy, wstąpiła w fale Sarońskiej zatoki, by się ukazać potem zachwyconym tłumom w postaci rodzącej się z piany morskiej Afrodyty. Apellesowi dało to pomysł do jego obrazu Aradyomene, Praksitelesowi do jego posągu Afrodyty w Knidos. Nasz artysta obrał chwilę, gdy Fryne zrzuca obuwie, gotowa pogrążyć się w ciemno-szafirowe tonie morskie. W głębi widać Eleusis; z akropolisu eleuzyjskiego zstępuje nieprzerwanym ciągiem aż na pierwszy plan obrazu procesja z niesionym przez tłumy archaicznym posągiem Posejdona.

Taką już jest zapewne natura — czyli, jak dziś mówią naturaliści, temperament naszego artysty, że za ojczyznę sobie obrał słoneczne kraje południa i klasyczne formy starożytności helleno-rzymskiej; ale to pewna, że w tym zakresie, z którego rzadko i niechętnie wychodzi, należy on do liczby pierwszorzędnych mistrzów. Zdaje się nam, że sie nie pomylimy, przepowiadając obrazowi festu eleuzyjskiego, znajdującemu się dziś na ukończeniu, że zaliczonym zostanie do najpięknieiszych utworów Siemiradzkiego.

Oglądaliśmy również pracownię P. Welońskiego, via Margutta, 53. Weloński nietylko dużo rzeźbi ale i maluje; pod jego okiem wykonał się pracowicie z marmuru posąg mitycznego piewcy Bojana — już pierwej znany światu artystycznemu, bo bydlany ze spiżu. Weloński zajęty jest obecnie opracowaniem grobowego pomnika kardynała Czackiego dla kościoła św. Pudencjany w Rzymie.

P. Aleksandrowicz, warszawianin, wystawił w muzeum peszteńskim biust murzyna.

Artysta przebywa stale w Bononji, gdzie talent jego cieszy się zasłużonem uznaniem.

Znany pejsażysta, Brzozowski, podczas dłuższego pobytu w Krymie, zebrał wiele szkiców do większych prac pejzażowych.

Kronika powszechna.

Loterja artystyczna na rzecz wdów i sierót po literatach i artystach polskich, przyjdzie wreszcie do skutku 30 bm. Do wylosowania jest kilkadziesiąt rysunków i obrazów Biletów loteryjnych po 50 ct. za sztukę można jeszcze nabyć w Kole liter. artyst. krakowskiem.

25-letni jubileusz konsekrakcji na biskupa płockiego, arcypasterza archidyecezji warszawskiej ks. Popiela przypada w dniu 6. grudnia b. r.

W Paryżu dnia 14. b. r. odbędzie się odsłonięcie pomnika S h a k e s p e a r e'a. Pomnik ten wzniósł Anglik William Knighton własnym kosztem. Knighton był sędzią angielskim w Australji, mieszkał długi czas w Paryżu, gdzie zaciągnął się w szeregi literatów. Na międzynarodowym kongresie literackim w Madrycie poznał rzeźbiarza Fournier, który zyskał sławę swoją „Desdemoną" i „Ofelią" i powierzył mu wykonanie posągu Szekspira, który stanie na rogu ave ue Mossine i bulwaru Haussmana.

Dr. Smolka Franciszek ma dnia 14 go b. m. obchodzić 40-letnią rocznicę pierwszej swojej prezydentury Sejmu wiedeńskiego (1848).

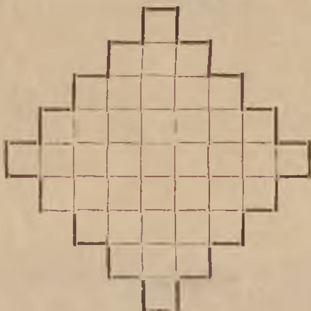
Łamigłówka.

Sły, e, na, ri, ma, kal, szy, cin. e, nos, mek, ili, e, win, in, c, zło, c, pe. bo, go, sia, mu, mo, ci, le, kow, syk, un, gej, ni dya, i, to, no, ries, ka, let, ny, ko, no, na, gie, ski, skie, ki, niu, ą, dne, to, wie, zar, wicz, ti, g.

1. Nazwa zwierzęcia z rodziny mięsożerczych w 5-tym przypadku. 2. Miasto na Węgrzech. 3. Król Nowobabiloński. 4. Opera. 5. Wyspy na oceanie atlantyckim wspak. 6. Naród koczujący. 7. Poeta z 16 wieku. 8. Miasto w Ameryce nad rzeką Shid (wspak.) 9. Rodzaj poezji. 10. Pianista polski. 11. Miasto w Ameryce wspak. 12 Starożytna Troja. 13. Nazwa morza. 14. Miasteczko fabryczne w Galicji. 15. Mieszkaniec Azji. 16. Potrzebny przy grze w szachy. 17. Minerał

Litery początkowe czytane z góry na dół, tworzą imię i nazwisko powieściopisarza, zaś końcowe z dołu do góry dwa z jego dzieł

Zadanie djamentowe.



1) Samogłoska, 2) Jest w sądzie i w teatrze, 3) Imię męskie, 4) Miasto w Rosji, 5) ? ? ? ?. 6) Król spartański, 7) Drzewo, 8) narząd zmysłu, 9) Samogłoska.

Litery czytane z góry na dół i wpoprzek, dają początkową literę imienia i nazwisko księdza bohatera.

Łamigłówka.

a. a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a a, c, c, c, d, d, d. e, e, e, e. e, e, e, e, e, e, e, e, f, f, g, g, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i. k, k, k, k, k, k, k, k, k. k, l, l, l, l, ł, m, m, n, n, n, n, n, n, n, n, n, n, n, n, o, o, o, o, o, o, o, o, o, ó, r, r, r, r, r, r, s, s, s, s, s, t, t, t· u, u, u, w, w, w, w, w, y, z, z, z, z,

1) Powieść opisarz polski, 2) poemat Słowackiego, 3. Część pomieszkania, 4) Niezbędne przy broni palnej, 5) Sprzęt gospodarski, 6) Władza, 7) Zakonnik. 8) Zabawa, 9) Miasto w Grecji, 10) Sławny wodospad, 11) Są w klasztorach, 12) Rosyjski dygnitarz, 13) Ptak, 14) Część ubrania kobiecego, 15) Imię żeńskie, 16) Znamię monarchów.

Początkowe litery tych wyrazów z góry na dół czytane dają imię i nazwisko jednego ze sławnych mężów.

☛ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść Danilewskiego „Carski więzień"** w 3 tomach.

Rozwiązanie łamigłówki.

Korba, **O**ran, **D**uchy, **R**ynka, **U**ral, **S**topa.

Kodrus.

Rozwiązanie łamigłówki nadesłali: Pp. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, Marya Wurst z Kossowa, Aleksander Godel sluchacz praw ze Lwowa, Kazimiera Sozańska z Lubienic, Michał Kramecki z Gdowa, Stefania Grabowska z Wadowic, Dora Lehman z Wiżnicy, Kazimierz Nitsch z Krakowa, Jan Olszewski z Sambora, Jerzy Klein ze Lwowa, Konstanty Dębski z Sambora. W. Ośmiecimska z Jauer Niederschlesien.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała **Kazimiera Sozańska** z Lubienic.

Od p. Stanisława Faliszewskiego nadeszło spóźnione rozwiązanie łamigłówek z Nr. 26.

Korespondencje Redakcji.

Wszyscy upominający się o początek powieści p. t. „Henryk Szczerba" otrzymają go razem z 30-tym numerem naszego pisma ***bezpłatnie*** w osobnych ar uszach. Początek powieści pt. „W śmiertelnych zapasach" mogą czytelnicy nasi nabyć tylko w drodze kupna 27 miu numerów „Wieczorów zimowych".

P. *Wanda K. Stan.* Prosimy o cierpliwość.

P. *St Lis. Zbaraż.* Wyszlemy w tych dniach

P. *Ignacy S. Kraków.* 18 zeszytów „Ruchu" wyszlemy. Z nadesłanych prac nie będziemy korzystali.

☛ **Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU i WIECZORACH ZIMOWYCH" upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.**

TREŚĆ Nr. 29 (19). Do czytelników. — W śmiertelnych zapasach, powieść przez J. Rogosza (c. d. — Z kraju i ze świata, pogadanka. — Ostatnie pragnienie, wiersz Wiktora Gomulickiego. — Henryk Szczerba powieść przez W. Solecką (c. d.) — Z „Sorbony" paryskiej, korespondencja z Paryża. — Kronika literacka i artystyczna. — Zadania. — Rozwiązanie. — Korespondencje od Redakcji.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki.

Z drukarni nar. W Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.